Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok III. Kraków, dnia 29. Sierpnia 1909 r. Nr. 35.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do Administracyi „Roli" w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny L. 8. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, 1. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Co będzie z parlamentem?

W Wiedniu odbyła się próba zbadania, czy parlament będzie po zwołaniu zdolny do pracy. Zebrali się lekarze tego nieszczęśliwego pacyenta i zaczęli radzić. Przyszło do tego tak:

Prezes Koła polskiego, dr. Głąbiński, udał się do prezydenta ministrów barona Becka, potem konferował z przywódcami różnych stronnictw i nakoniec zwołał na 17 b. m. do Wiednia konferencyę, na którą zaprosił przedstawicieli różnych partyj. Szło o stwierdzenie, czy da się parlament zwołać, aby pracował, czyli o to, czy Unia słowiańska nie zacznie obstrukcyi.

Aby ją od tego odciągnąć, ogłoszono w dziennikach plan obrad parlamentarnych, ile to one dobrego dla ludności przyniosły. Przedewszystkiem więc miał parlament zebrać się we wrześniu z samym początkiem, wybrać prezydyum, ukonstytuować się wogóle, następnie odesłać do komisyi bez sporów reformę finansową, z którą łączy się reforma i uzdrowienie finansów krajowych, dalej ustawę o kolejach lokalnych, przedłożenie melioracyjne i jeszcze parę drobniejszych spraw. Podczas obrad komisyjnych, zebrałyby się Sejmy krajowe, po nich przyszedłby znów parlament.

Piękne te plany rozbiły się na razie prawie zupełnie. Unia słowiańska zajęła takie stanowisko, że widać było, iż obstrukcyi się nie zrzeka. Wobec tego nie było co wiele obradować. A co gorsza, kalendarz parlamentarny uległ zmianie. Mianowicie parlament nie zbierze się teraz, na początku września, tylko gdzieś z początkiem października. Sejmy będą zwołane na drugą połowę września, na krótką sesyę, najwyżej na dwa tygodnie, potem zaś musiałyby ustąpić miejsca parlamentowi i przyszłyby do głosu dopiero na koniec grudnia i styczeń.

Kalendarz taki jest bardzo fatalny. Najważniejszą sprawą sejmową jest budżet na rok przyszły, a budżet ten można układać na seryo dopiero wtedy, gdy się wie, czy uzdrowienie finansów krajowych, złączone z reformą finansową, przyjdzie do skutku i w jakich rozmiarach. Skoro parlament ma obradować nad tem dopiero w październiku i listopadzie, to pierwsza sesya sejmów będzie dla tej sprawy zupełnie straconą i wszysto się opóźni.

Rząd postępuje tak, bo ma nadzieję, że jeśli zwoła sejm czeski wpierw niż parlament, to uda mu się zaprowadzić zgodę niemiecko-czeską w sejmie, a potem i w parlamencie. Wiadomo bowiem, że cała obstrukcya parlamentarna stąd głównie poszła, że Niemcy urządzają obstrukcyę w sejmie czeskim, gdzie są w mniejszości, a Czesi, odpłacając im pięknem za nadobne, urządzają to samo w radzie państwa.

Czy to się rządowi powiedzie? Zobaczymy. Dobrze by było, gdyby się powiodło. Nadziei jednak wielkich niema i grosza by za to dać nie można. Pewnem jest tylko to, że parlament wyszły z czteroprzymiotnikowego głosowania jest daleko gorszym jak wszystkie poprzednie, mniej dla ludu jak one pracuje i wykazał znów jak na dłoni, że nie system wyborczy, ale posłowie rozstrzygają o dobroci ciała prawodawczego.

Nie rozdrabniać gospodarstw!

Dr. F. Bujak zastanawia się w *Przew. Kół. roln.* nad okropnemi skutkami rozdrabniania. Oto niektóre z jego słusznych wywodów:

Wszystkie rządy czy zarządy gminne, powiatowe, krajowe, państwowe, wszystkie rady gminne, powiatowe, krajowe (sejmy) czy państwowe starają się, a przynajmniej starać się powinny o to, aby mieć jak najwięcej obywateli czyli mieszkańców, a wśród tych obywateli, aby było jak najwięcej zdrowych, jak najwięcej zamożnych, jak najwięcej oświeconych, jak najwięcej moralnych, jak najwięcej szczęśliwych. Aby się stale coraz dalej mnożył dobrobyt, potrzeba: 1) dobrego rządu, 2) mądrych ustaw, 3) szczerej chęci i dobrej woli ludności, 4) znacznych środków materyalnych czyli podatków na utrzymanie dobrego rządu, szkół i różnych zakładów, urządzonych dla poparcia dobrobytu tej ludności.

Jakąż przedstawia wartość nasz stan włościański dla kraju jako całości?

Galicya posiada bardzo dużo włościan, jest w kraju przeszło milion gospodarstw rolnych. Gdyby sama ilość decydowała o pożytku, gdyby w samej ilości tkwiła cała siła, toby Galicya mogła się uważać za bardzo szczęśliwą. Niestety tak kraj, jak gospodarz musi się liczyć z tem, że o wartości decyduje obok ilości także i jakość. W kraju tak biednym, jak nasz, jest daleko więcej niż w innych ludzi chorych, słabowitych i ułomnych kalek, niezdolnych zapracować na życie, potrzebujących zatem leczenia w szpitalach, utrzymania w przytułkach, jałmużny. Galicya może wprawdzie dostarczyć wielką ilość rekrutów, ludzi zdolnych do służby wojskowej, jest to jednak mała korzyść, wynikająca z wielkiej liczby ludności, bo wojsko, aby ono mogło służyć na obronę kraju, trzeba uzbroić, wyżywić, pobudować mu koszary i twierdze, ale Galicyę stać tylko na utrzymanie mniejszej części tego wojska.

Pochodzi to stąd, że Galicya ma bardzo **małą siłę podatkową**, to znaczy, że jej ludność, jako złożona z drobnych włościan, mało płaci podatków tak bezpośrednich jak też i pośrednich, płaconych przy sposobności kupowania pewnych towarów, jak np. cukru, nafty, soli, trunków, mięsa. I nie tylko na utrzymanie swego wojska niema Galicya dostatecznych środków, ale na wszystkie inne cele konieczne lub bardzo pożyteczne dla ludności, brak środków tak dalece, że się zaledwie może dziesiąta część robi z tego, coby robić trzeba pilno, o co się ludzie dopominają na zgromadzeniach, w stowarzyszeniach, w sejmie. Można śmiało powiedzieć, że obfitość w ludność biedną, to nędza dla gospodarki krajowej. Im więcej warstw biednych, tem więcej trzebaby wydawać na poparcie i pomoc dla nich, ale tem mniej można spodziewać się od nich wydobyć w formie podatków.

Ale nie tylko zarządowi krajowemu daje się we znaki ubóstwo rozdrobnionego stanu włościańskiego. Rolnicy, którzy zaledwie tyle z roli wydobędą, ile im jest potrzebne do przeżycia, nie mają za co kupować produktów przemysłowych, służących do uprzyjemnienia życia, czyli, jak się to nazywa, posiadają małą siłę konsumcyjną (spożywczą). Jest to jedna z ważniejszych przyczyn ogromnie powolnego rozwoju przemysłu w Galicyi; przemysł nie może się rozwijać, bo brak mu zbytu na jego wyroby wśród głównej masy ludności, którą stanowi rozdrobnione włościaństwo. Kiedy chłop coś wyprodukuje, to może to zużyć w swojem gospodarstwie, przemysłowiec przeciwnie niczego ze swoich wyrobów do własnego gospodarstwa nie potrzebuje, wszystek swój produkt musi sprzedać, na wszystko musi znaleźć nabywcę, a o tego trudno w naszym kraju.

Powtarzają często chłopi, że oni „żywią panów“, że z ich ciężkiej pracy utrzymują się wszystkie inne warstwy społeczne. I nie wątpliwie jest to prawda, tylko musimy dodać, że chłopi nie żywią panów za darmo z łaski. Panowie, tj. wszystkie inne warstwy społeczne są chłopom koniecznie potrzebne i muszą im się dobrze za to żywienie odwzajemniać, kiedy ich chłopi tyle czasu na całym świecie cierpią. Jeżeli chłopi wogóle żywią panów, to musimy powiedzieć, że chłopi w naszym kraju źle żywią panów, gorzej niż w bardzo wielu innych krajach, że tych panów głodzą, krzywdzą, bo dobrze wiadomo, że po naszych miastach bieda, aż piszczy. Rozdrobnienie gruntów nie tylko sprowadza biedę na chłopów, ale rozszerza ją także na cały kraj, na inne warstwy ludności.

Rozdrobnienie gruntów w Galicyi powoduje dalej zbyt wolny postęp oświaty ogólnej i wiedzy zawodowej czyli rolniczej w kraju. Wprawdzie zdobyć oświatę może każdy, bo szkoła ludowa nie tylko jest bezpłatna, ale nawet przymusowa, ale musimy przyznać, że daleko łatwiej nabrać oświaty temu, kto jest zamożniejszy, kto ma na kupno książek, kto jest mniej sterany i przygnębiony.

Ciemnota i nędza ściśle związana z rozdrobnieniem gruntów rodzą w następstwie grzech i występek. Ewangeliczna przypowieść o uchu igielnem,

przez które łatwiej jest przejść wielbłądowi, niż bogaczowi wnijść do królestwa niebieskiego, jest tylko przestrogą dla bogatych, nauką moralną, bo statystyka kryminalna dowodzi, że ogromną większość zbrodni popełniają nędzarze i nieoświeceni. Nędza to zły doradca, który najsilniej kusi wśród ciemnoty. Zamożniejszego, takiego, co mu się dobrze dzieje, nic nie pcha gwałtem do zbrodni, a dużo powodów wstrzymuje od niej. W naszym kraju znacznie więcej kłótni, bójek, morderstw, kradzieży, znacznie więcej procesów, znacznie więcej kryminalistów, niż w innych zamożniejszych krajach, zwłaszcza krajach rolniczych. Jest to nie tylko wstydem dla nas, ale naraża kraj na wielkie wydatki, a ludzi na straty i koszta.

Jeszcze możnaby wiele przytoczyć ciemnych i przykrych stron naszego życia, których źródła upatrywać należy w rozdrobnieniu gospodarstw włościańskich. Nie będziemy już tutaj omawiali, jak nie omawialiśmy bezpośrednich skutków rozdrobnienia dla włościan. Wszystkie te ujemne skutki rozdrobnienia powinny nakłonić chłopów do tego, aby starali się za wszelką cenę bezwarunkowo zerwać z dalszem rozdrabnianiem gospodarstw swoich, tak z miłości własnej, z dbałości o swój stan rolniczy, jak i z miłości ojczyzny, z pragnienia, aby się całemu krajowi i wszystkim jego mieszkańcom jak najlepiej działo.

Jeżeli tylko chłopi przyjdą do świadomości, że zwyczaj dzielenia jest szkodliwy, a do tego dojść powinni i dojść wreszcie muszą, to znajdą i sposoby, jak się od niego powstrzymać, jak się go pozbyć. Jak będzie pełna powszechna u ludu świadomość szkodliwości dzielenia, że to poprostu jako mnożenie nędzy w kraju z b r o d n i a p r z e c i w s t a n o w i w ł o ś c i a ń s k i e m u i przeciw społeczeństwu całemu, to musi za nią pójść stanowcza i gorąca wola, która wysili się, aby znaleźć sposoby unikania tego szkodnika.

Rolnictwo u obcych.

(Dokończenie).

Holendrzy nawet tak budują swoje domy, że w przedniej mniejszej części mieszka gospodarz z rodziną, a reszta budynku — to obora dla krów, która najczęściej jest wybrukowana. Jeżeli zaś gospodarz wszystkie swoje grunta zmieni na pastwiska i wskutek tego nie ma słomy, to tę podłogę brukowaną zmywa dwa razy na dzień i posypuje piaskiem. Ściany w oborze też się zmywają, a żłoby wyparzają kipiątkiem. Na podłodze zrobione są rowczaki, którymi wszelki gnój ścieka obejściem, do murowanej jamy, potem gnój ten wybierają stamtąd i wywożą w pole. Powietrze w oborach świeże, jak na dworze. Latem na pastwisku każda krowa pokryta siatką gęstą, aby ją owady nie kąsały. Co dzień każdą krowę myją i wycierają szczotką, a karm dają codzień o jednej porze, minuta w minutę. Używają tych tylko buhajów, które uzna za dobre komisya, złożona ze znawców i weterynarzy.

Porządek, karm dawany we właściwym czasie i wogóle troskliwość o bydło taka, że trudno nawet nam uwierzyć. Nic też dziwnego, że holenderska rasa w wielkiej jest wszędzie cenie, a tamtejszy gospodarz, co ma kilka dziesiątków takich krów i tylko z nich się utrzymuje, uważanym jest za bogacza. Bydło swoje Holendrzy sprzedają różnym narodom za wysoką cenę, a oprócz tego wyrabiają na miejscu z mleka masło, znany gatunek sera (który się u nas nazywa „holenderskim" — czerwone krążki), ser ten taki twardy i suchy, że może więcej niż rok przeleżeć i nie zepsuje się. Ser i masło wywożą za dobre pieniądze do Niemiec, Anglii i dalej. Sera, który się najwięcej wyrabia w okolicach Zuydersee, corocznie się wywozi zagranicę prawie za 10 milionów koron. W południowej i średniej Holandyi włościanie nauczyli się wyrabiać bardzo smaczne i twarde masło, które się długo nie psuje; sława o niem rozeszła się daleko. Wywożą go Holendrzy do Londynu rocznie za 35 milionów koron.

W każdem gospodarstwie znajdziemy osobny budynek, przeznaczony na mleko, masło, ser. Jeden podróżny tak go opisuje: „Wszedłem ja do chaty. Chata wielka, nadzwyczaj czysta, chłodna niby loch; wszędzie stoją bańki z mlekiem. Na jednej ścianie wisi termometr; okna, na których stoją wazony z pięknemi kwiatami. Maszynę do wyrobu masła poruszał koń". Teraz już separator (maszyna, która oddziela śmietankę od mleka) i maszyna wyrabiająca masło znajdują się u każdego gospodarza, który prowadzi mleczne gospodarstwo. Masło składają w faski dębowe i wywożą do miasta na wagę skarbową. Tu wybrani znawcy próbują masło, ważą go i nakładają pieczęć skarbową, a wówczas dopiero składają na parostatki. Krąży wśród Holendrów taka bajka: Razu pewnego Hiszpan pokazał włościaninowi holenderskiemu pomarańczę i chwalił się, że ten owoc w jego ojczyźnie dojrzewa dwa razy do roku, Holender zaś przyniósł mu krążek masła i rzekł: „A w naszym kraju ten owoc dojrzewa dwa razy na dzień".

Holenderscy włościanie oprócz rolnictwa, zajmują się też jeszcze innym przemysłem. Wiatraki, których u nich jest bardzo dużo, nie tylko wysuszają moczary, ale młócą zboże, wyrabiają papier, rozcierają wapno, tłuką kamień, rżną drzewo, wyrabiają olej, rozcierają tytoń na proch. Taki młyn kosztuje tyle, co dobry majątek. Oprócz tego wielu Holendrów żyje z rybactwa: holenderskie śledzie wszystkim są znane.

Sami włościanie zakładają bardzo dużo szkół rolniczych z „doświadczalnemi polami", rolnicze towarzystwa i wzorowe gospodarstwa. Często podróżują do sąsiedniej Anglii lub Belgii, by obaczyć jak gospodarują ludzie w innych krajach. Już 60 lat z rzędu co rok odbywają się w Holandyi zjazdy, na które się zbierają rolnicy z całego kraju i z zagranicy. Co rok zjazdy te się odbywają w innem miejscu, żeby można było po mału obejrzeć wszystkie sposoby gospodarki całego kraju. Uczeni ludzie spotykają się tu z robotnikami i na miejscu widzą, czy ich rady i próby mogą być zastosowane w gospodarstwie, czy też przeciwnie. Mówią na tych zjazdach o nowych maszynach, o najlepszych nasionach, o różnych rasach krów, o próbach w wszelkiemi płodozmianami i tak dalej.

Domowe życie Holendrów.

Kiedyśmy na początku mówili o Holandyi, że to kraj bagnisty, torfowy, wszędzie moczary, zą-

pewne czytelnik pomyślał sobie, że i życie tych ludzi ponure, smutne, znojne. Ale to mylne przypuszczenie. Rozumna i wytrwała praca rolnika w tym kraju wydobyła ze złej ziemi bogactwo, a i życie tem samem zrobiło się lżejszem, spokojniejszem. Obejście gospodarskie włościanina wygląda ładnie — obmurowane, obsadzone drzewami, a ulica, podwórze, sadek, czysto zamiecione.

A cóż zrobili z błotem? Wydobyli z niego torf, a rozkopany grunt przemieszali z gnojem i mułem z kanałów, rowów i rzek. W innem zaś miejscu ten torf, który wydobyto kopiąc rowy i kanały, rozwozili taczkami po deskach, równo go rozkładali, wtłaczali, a potem przysypywali piaskiem. W ten sposób grunt robił się wyższym, a przez to więcej był zabezpieczony od podskórnej wody. W końcu jeszcze nasypywali piasku, a wówczas już można było siać na takiej ziemi i urodzaj mieli nie byle jaki.

Te kanały, nie tylko wysuszają grunta, ale też służą jako wodne drogi i po nich, zdaleka nawet z nad morza, gdzie jest moc piasku, przywożą i ten piasek i glinę i muł rzeczny, a również po tych kanałach Holendrzy odwożą do rzeczek i morza torf, wyrobiony przy pomocy najlepszych maszyn.

Na te wodne drogi Holendrzy zwrócili szczególniejszą uwagę — starają się, by niemi podzielić swe pola na równe kwadraciki, tak, żeby z każdej strony był wygodny dostęp. Tam, gdzie torfowiska możnabyło zrobić wyższemi, Holendrzy tak zrobili; ale gdzie grunt był bardzo niski, tam trzeba było wpierw kopać kanały, nasypywać po bokach wały, porobić upusty i ściągnąć wodę do kanałów, by ją później skierować do rzeki lub morza.

Dlatego bardzo często w Holandyi możemy obaczyć, że pole orane z jednej strony kanału lub upustu leży niżej, niż na drugiej, wiatraki zaś są pobudowane w tym celu, by wypompowywały wodę z moczarów do kanałów. Cały kraj usiany groblami, niby siatką gęstą, a między nimi — równe, nadzwyczaj starannie uprawione pasma ziemi, niby grządki na ogrodzie. Spojrzeć na ten kraj, widzi się tylko groble, które stojąc równą ścianą, nie dają widzieć co się za nimi robi. Czasem z za tych nie bardzo wysokich wałów widać, jak płyną spokojnie po kanałach niewielkie statki; widać też wiatraki lub też wielkie budynki z wysokimi kominami, to parowe maszyny, które wypompowują wodę zamiast wiatraków. Holendrzy siedzą sobie między tymi wałami w swoim spokojnym i bogatym kraju, jakby w fortecy, spoglądając tylko z swoich wież na morze czy nie gotuje ono dla nich jakiejkolwiek niespodzianki.

Walka z morzem.

Czytelnicy wiedzą, że z zachodu Holandyę obmywa morze Niemieckie, które zachodzi w niżej położone części kraju wielu mniejszemi lub większemi zatokami. Jak wyżej mówiliśmy, morze to często zalewało na setki wiorst nadbrzeżne miejscowości i wszystko po drodze niszczyło, co się tylko trafiło — czasem całe tysiące wsi z ludźmi i całym dobytkiem. Te same szkody wyrządzają i wielkie rzeki, zwłaszcza rzeka Ren.

Otóż by siebie obronić od tego nieszczęścia, Holendrzy już oddawna wojują z morzem w ten sposób, że wysypują ogromne groble na brzegach morza, sążni 4 lub 5 w górę, a 25—50 wszerz. Te groble wyglądają niby mury forteczne i ciągną się prawie przez cały brzeg morski, na setki wiorst; wszystkich takich grobel nad morzem i rzekami, prócz mniejszych, poprzecznych, liczą w Holandyi na dwa i pół tysiąca kilometrów wzdłuż. Zbudowane są mocno; wpierw robią szkielet z łozy, — a w środek i z boków sypią kamienie, które przywożą z Norwegii, piasek, glinę, słomę, chrust, słowem co tylko można. I teraz z jednego boku grobli, widać jak pływają po morzu okręty, a po drugim spokojnie, bez strachu, jak to wpierw bywało, pracuje rolnik na swoim polu.

Ale to samo morze, z którym tak wojują Holendrzy, jest też dla nich korzystnem. Odgrodziwszy się wałami od morza, Holendrzy porobili w nich wrota i wpuszczają nimi do siebie morze. Wrota te, to ogromne upusty. Kiedy na morzu bywa wielka burza, to wpuszczają je przez te upusty do rzeczek. Szalona fala pędzi wówczas po rzece z jednego końca w drugi. Ale chociaż tak się strzegą Holendrzy, jednak nie zawsze obronią się od szkody, jaką wyrządza wzburzone morze. Wartownicy dzień i noc stoją na czatach, jak podczas wojny, by wróg nie wpadł do ich ziemi.

Jeżeli zaś morze zaczyna być niespokojnem, i zanadto napiera na wały morskie, to wówczas rozlega się po całym kraju wojskowa komenda i na pomoc zjawiają się uczeni i inżynierowie, całe tłumy fachowych robotników, z tem wszystkiem, co jest koniecznem w tej tak ważnej chwili.

W chacie również czysto, okna i ściany raz na tydzień się zmywają, ze sprzętów codzień ścierają kurz i czyszczą, gospodarz nigdy nie wejdzie do mieszkania w zabłoconem obuwiu; chodzi on zwykle w długich pończochach i drewnianych chodakach, a wchodząc do chaty, zrzuca w sieniach parę zabłoconą, a nakłada czyste, już zawczasu przygotowane. Kilimki, ładne malowidła na ścianach, nawet fortepian często można zobaczyć we włościańskiej chacie. Kuchnia się zwyczajnie buduje dalej od budynku mieszkalnego. Jednem słowem, jak na polach holenderskich, tak i tu widać wszędzie taki porządek wzorowy, taką pracę rozumną, wspólną całych gromad, tak samo i w chatach, oborach i całem obejściu — wszędzie porządek i czystość zdumiewająca.

Wielką zaletą Holendrów jest skromny sposób życia; tam gospodarz, którego liczą na czterdzieści tysięcy, tak samo pracuje, jak i ten, co i setki nie ma.

Drugą zaletą Holendrów — oświata. Ośmnaście lat temu w Holandyi na sto ludzi siedmiu tylko nie umiało czytać. Niema tam przymusu szkolnego, jednak sami Holendrzy dobrze rozumieją, że człowiek bez nauki i oświaty nic teraz nie wart na świecie.

W Holandyi uczą dzieci, jak rozumnie gospodarować: jak się z ziemią i bydłem obchodzić, czy lepsza jest trzypolówka czy płodozmian; jakie gospodarstwo w tej okolicy, gdzie się dziecię uczy, najwygodniejsze i t. p.

W Holandyi każde dziecko wie już z maleństwa, że wspólna sprawa — to wszystkich sprawa. Dowodem tego następujący wypadek. Pewnego wieczoru mały chłopczyk szedł koło grobli i obaczył w niej maleńką dziureczkę, przez którą się woda sączyła. Odrazu zrozumiał, że może być źle: woda rozmyje groblę i zaleje całą okolicę z wioskami

i ich dobrem. Nie mając nic innego pod ręką, zatknął ręką dziurkę i przesiedział tam całą noc aż do rana, bo chociaż krzyczał i płakał, nikt jednak nie przyszedł mu na pomoc. Rano zaś zbiegli się ludzie, a dziecko od bólu i zmęczenia zemdlało. Takim ludziom zawsze będzie się powodziło. Nic dziwnego, że ziemia im daje dużo chleba i bogactw.

Co słychać w kraju?

Nad próżniactwem i szkodliwością parlamentu czteroprzymiotnikowego zastanawiają się oddawna pisma ludowe i nie ludowe. Oto co znajdujemy w ostatnim *Wieńcu i Pszczółce*:

Mówiono przed paru laty, że parlament austryacki jest zły dlatego, że złą jest ustawa wyborcza do parlamentu i że skoro tylko zmieni się ustawę wyborczą i zaprowadzi powszechne i równe, tajne i bezpośrednie prawo głosowania, to zaraz tak wybrany parlament będzie lepszy — i będzie ład i spokój w państwie. Ale nie zmieniło się nic na lepsze, owszem, można śmiało powiedzieć, że się zmieniło na gorsze. — Gorsze zaś jest już choćby to jedno, że parlament kosztuje daleko drożej, a nie robi nie tylko nic lepszego dla obywateli, dla państwa — ale nie robi zgoła nic! Nie ubyło też sporów i waśni, ale raczej jest ich więcej, aniżeli było kiedykolwiek przedtem.

Okazało się najwidoczniej, że samo powszechne prawo głosowania nie wystarcza, jeżeli przy takiem głosowaniu nie będzie też innych rzeczy; jeżeli posłowie przez powszechne prawo głosowania wybrani nie będą mądrzejsi, uczciwsi, sumienni i ludowi prawdziwie życzliwi.

Nie chcemy przez to powiedzieć, żeby w parlamencie nie było światłych, rozumnych i uczciwych, a ludowi życzliwych posłów. Są tacy, lecz jest ich za mało, a głównie za mało jest posłów takich, którzyby mieli odwagę na dwie strony. Najpierw odwagę wobec swoich „wyborców“, aby mówili im prawdę, a powtóre, aby mieli odwagę wobec rządu i zmusili rząd do tego, co konieczne jest dla dobra samego państwa i narodów do państwa należących.

Bardzo słuszne. Niemal słowo w słowo to co my od dwóch lat powtarzamy.

Co słychać w Polsce?

Donosiliśmy o obawie nowych ustaw antypolskich pod Prusakiem. Oto co pisze jedna z gazetek polskich, tam wychodzących:

„Pokazuje się, że wiadomość niektórych gazet niemieckich, jakoby rząd zamierzał stworzyć na Górnym Śląsku, na Pomorzu i w Prusach Wschodnich banki włościańskie, zależne od komisyi kolonizacyjnej, któreby udaremniały nabywanie ziemi przez Polaków, jest mylną. Prawa do tworzenia takich instytucyj bankowych w tych dzielnicach rząd w sejmie pruskim wnosić nie będzie. Natomiast będzie we wyjątkowych wypadkach dopomagał bankrutującym niemieckim właścicielom ziemskim, o ile będą chcieli zachować ziemię we własnem ręku.

„Równocześnie głoszą, że rząd będzie robił użytek, ale tylko ograniczony. My w to nie wierzymy; prawdopodobnie i tę wiadomość niebawem odwołają. Z myślą wywłaszczenia my Polacy nie pogodzimy się, bo sprzeciwia się ona duchowi chrześciańskiemu. Większość narodu niemieckiego nieszczęsne to prawo potępia i złorzeczy wysadzonemu ze stołka kanclerskiego ks. Bülowowi, że tem prawem okrył naród niemiecki w oczach całego świata hańbą. Niech więc Niemcy do jednej hańby drugiej nie przydają. Prawa antypolskie zepsuły już aż zanadto duszę narodu niemieckiego, a jaki skutek prawo o wywłaszczeniu wywarło, to się pokazało przy zakładaniu chłopskiego związku rolniczego. Ci sami bowiem koloniści, których rząd przez zaprowadzenie kolonizacyi na polskie ziemie sprowadził, wołają teraz o prawo, któreby zniewalało wielkich niemieckich właścicieli do sprzedawania swych gruntów na rzecz parcelacyi. Wywołali zatem hakatyści duchy, których pozbyć się nie mogą, i które ich samych na dobre niepokoić zaczynają. Ze złego swego posiewu sprzątają już hakatyści plon, jakiego się nie spodziewali, ale plon nie mógł być innym, jak tylko taki, jaki zasiali. Chcieli wywłaszczać Polaków, a oto ich samych chcą wywłaszczać; widzą, co narobili prawem o wywłaszczeniu i prawdopodobnie nie będą mieli ochoty do wywłaszczania Polaków. Pierwszy zaś wywłaszczony majątek polski nabrałby na świecie sławy wozu Drzymały, i byłby nowem potępieniem kultury niemieckiej i hańbą dla niej. Własność prywatna była i jest u wszystkich narodów świętością, a naród, któryby jej swych obywateli pozbawiał, zostałby potępiony przez najdalsze pokolenia.

„Z Berlina otrzymaliśmy już w marcu tego roku wiadomość, że rząd wywłaszczać nie będzie, chyba takich, którzy majątki swe do wywłaszczenia podali. Z wiadomości tej robimy teraz dopiero użytek ze względu na pojawiające się w tym względzie pogłoski. A ku wielkiej hańbie naszej podnieść musimy, że znalazły się jednostki, które komisyi kolonizacyjnej narzucają swe majątki na wywłaszczenie. Do nich w pierwszym rzędzie zalicza się pani Gąsiorowska, żyjąca w Paryżu, właścicielka klucza, obejmującego pod Poznaniem około 15.000 mórg“.

Tyle owa gazetka. Gdyby jej ostatnie doniesienie było prawdą, nie byłoby dość kamieni na ziemi polskiej, aby ukamienować ludzi, którzy „każą się wywłaszczać“ Prusakom ze skiby ojców swoich!

Maszyna do uprawy roli.

Jedną z największych osobliwości na wystawie w Lipsku była nowa maszyna do uprawy roli.

Jest rzeczą charakterystyczną, że wszystkie maszyny i narzędzia z biegiem czasu zmieniły swój wygląd, doskonaląc się coraz bardziej; jeden tylko pług, jak gdyby zatrzymał się w swoim rozwoju. Były wprawdzie próby stworzenia maszyny do kopania ziemi, ale nie weszły nigdy w życie. Dopiero prostemu kowalowi węgierskiemu, Köszegi, udało się zbudować maszynę, która nie pracuje jak pług, posuwając się w jednym kierunku, ale naśladuje pracę rydla i motyki i uzyskuje taki efekt, jak przy ręcznej uprawie.

Osadził on na walcu pewną ilość ostrzy. Jedne ostrza tną ziemię, inne kopią jak motyki. Ażeby narzędzie mogło pójść głębiej, musi się je obciążyć, a wtedy nie wystarcza ani siła pociągowa człowieka, ani sprzężaju i musi się użyć innego motoru. Wynalazca osadził walec w potężnych kierownicach szyn i umontował poza 60-konnym wozem motorowym. Była jeszcze jedna trudność do pokonania. Ażeby walec zanurzył się na 30 cm. w ziemię, potrzebaby niezmiernie obciążyć samochód. Trudność tę pokonał wynalazca, wraz z wprawnymi inżynierami, których rząd węgierski dodał mu do pomocy. Nadano ostrzom taki kształt, że same wciągają walec w ziemię.

W Lipsku produkowano nową maszynę tuż przed placem wystawowym. Ziemia była twarda, gliniasta, pomimo to motor rozwijał prędkość 4 km. na godzinę. Jeśliby praca szła w takim tempie przez dziesięciogodzinny dzień roboczy, to (przy szerokości roboczej 2 m.) dzienna wydatność pracy wyniosłaby8 ha. Głębokość orki wynosiła 35 cm. Co do efektu pracy, należy przyznać, że chyba ogrodnik jest w stanie swoją ziemię tak spulchnić jak ta maszyna. Przy próbie odkrywano ziemię i nie znachodzono miejsc pustych, gdyż wszystka ziemia była skruszona w grudki. Maszyna może pracować także przy przyorywaniu nawozu stajennego lub zielonego. Mieszać go może doskonale i ciąć dobrze, zachodzi tylko obawa, by nawóz nie dostał się za głęboko. Do obsługi wymaga dwu ludzi.

Bandyci przy robocie.



Napad na bank. (Patrz: „Nasze ryciny“).

Napad na bank w Rjece.

(Patrz rycinę).

W Rjece spełniło trzech żydów rosyjskich zuchwałe morderstwo rabunkowe, którego ofiarą padł dyrektor banku ludowego Milosewić. Lokal bankowy znajduje się w najbardziej ożywionym punkcie miasta na placu Dantego. Dyrektor Milosevic zastępował kasyera, który wyjechał na urlop. Szczegóły napadu i zbrodni były wedle relacyj pism następujące:

O godzinie wpół do dziesiątej znajdowały się w banku tylko trzy osoby, mianowicie dyrektor Milosevic, służący węgierskiego powszechnego banku kredytowego i służący banku ludowego. Dyrektor zastępujący kasyera siedział przy okienku od kasy. Nagle do lokalu banku weszło trzech nieznajomych ludzi. Jeden z nich zamknął szybko drzwi i zatarasował je krzesłami, aby uniemożliwić wejście z zewnątrz. Dwaj inni z dobytymi rewolwerami trzymali w szachu służących. Bandyci wiedzieli widocznie, że służący węgierskiego banku kredytowego przyszedł z pieniądzmi, gdyż jeden z nich zawołał groźnie na niego łamanym językiem niemieckim:

— Dawaj pieniądze;

Służący miał istotnie w torbie 4000 koron. Obaj służący nie śmieli ruszyć się z miejsca.

Tymczasem dyrektor Milosevic skoczył do telefonu, aby zawezwać pomocy. Stojący przy okienku bandyta zauważył to i natychmiast strzelił z rewolweru. Kula przebiła kręgi szyi i utkwiła w mózgu; dyrektor ciężko ranny runął na krzesło. Jeden z bandytów począł teraz szybko zgarniać w kieszenie gotówkę znajdującą się w kasie, drugi odebrał służącemu węgierskiego banku 4000 kor.

Huk strzału zwrócił uwagę przechodniów, którzy pospieszyli do wnętrza gmachu. Bandyci otworzyli tymczasem drzwi, z podniesionymi rewolwerami przedarli się przez zastępujących im drogę i wybiegli na ulicę.

Rozpoczął się pościg po ulicach. Trzej bandyci uciekali, gonieni przez rosnący tłum ludzi. Co chwilę któryś z nich odwracał się, i strzelając, zmuszał goniących do cofnięcia się. Ogółem dali bandyci około czterdzieści strzałów; kule roztrzaskały kilka szyb w oknach sklepowych, nie zraniły jednak nikogo. Do pościgu przyłączyło się także kilku policyantów. Jeden z nich, nazwiskiem Kalkowich, próbował z narażeniem własnego życia, schwytać najbliższego zbrodniarza. Bandyta, słysząc tuż za sobą kroki, odwrócił się i chciał strzelić z rewolweru. Zanim jednak zdołał nacisnąć cyngiel, szabla policyanta spadła z całą siłą na jego ramię, schwytano go i rozbrojono; dwaj inni bandyci zbiegli.

Schwytanego odprowadzono do urzędu policyjnego, gdzie zaraz rozpoczęto przesłuchiwanie go. Oświadczył on, że się nazywa Salomon Kisziniewskij, liczy lat 23 i pochodzi z Odesy. Drugi z wspólników ma się nazywać Berkow-Sterickij. Nazwiska trzeciego wspólnika nie chciał wymienić. Przy schwytanym znaleziono 4.000 kor., zrabowane z torby służącego banku kredytowego. Suma zrabowana z kasy banku ludowego ma wynosić 40.000 koron, wedle innej wersyi aż 80.000 koron: wysokość jej będzie dokładnie znana dopiero po przeprowadzeniu szkontrum po powrocie kasyera.

Dyrektor Milosevic, liczący zaledwie 32 lat, zmarł w szpitalu w godzinę później, wskutek odniesionej rany.

Śledztwo policyjne, prowadzone bardzo energicznie, trwało przez cały dzień i noc następną. — Celem stwierdzenia pewnych szczegółów, podanych przez aresztowanego bandytę, zwrócono się do urzędów policyjnych w innych miastach, zwłaszcza w Budapeszcie. Dzięki temu, udało się policyi budapeszteńskiej schwytać wspólnika bandy, niejakiego Abrahama Kriticzkina. W mieszkaniu, w którem bandyci mieszkali w Budapeszcie, przeprowadzono rewizyę i znaleziono wiele listów rosyjskich, oraz list, który we wtorek nadszedł z Rjeki. Listy te oddano zaraz tłómaczowi sądowemu do przetłómaczenia. Znalezione w mieszkaniu fotografie rozesłano wszystkim urzędom policyjnym i portowym w Europie, celem ostatecznego stwierdzenia identyczności, oraz ewentualnie przeszkodzenia bandytom w ucieczce.

Kriticzkin podczas śledztwa w urzędzie policyjnym budapeszteńskim poczynił bardzo szczegółowe zeznania. Poznał on swoich wspólników już przed pięciu laty i razem z nimi włóczył się po świecie. W ciągu tego czasu bawili dwukrotnie w Rjece, kilkakrotnie w Wiedniu, Krakowie, Lwowie i innych miastach galicyjskich, trzykrotnie w Budapeszcie. W tem mieście szukali zajęcia w kilku fabrykach maszyn. Przed mniej więcej dwoma laty osiedli na stałe w Budapeszcie. Dnia 30 lipca br. porzucili wszyscy swoje zajęcie. Trzech z nich wyjechało do Wiednia, stamtąd zaś wyruszyli do Rjeki. Jak policya przypuszcza, plan napadu był już przygotowany od kilku miesięcy; poprzedni pobyt bandytów w Rjece miał na celu zoryentowaniu się w sytuacyi.

Dwaj inni bandyci, którym udało się zbiedz, mają się nazywać Piotr Orlow i Abraham Spector; pochodzą oni również z Odessy. Orłowa złapano w Szwajcaryi.

KRONIKA.

Nasze ryciny. Obrazek, przedstawiający napad na bank w Riece wyjaśniamy osobnym artykulikiem. Drugi wyobraża używanie szczudeł w rolnictwie. Mianowicie w Anglii, gdzie uprawia się dużo chmielu, wpadli rolnicy na pomysł, aby robić koło wysokich tyczek chmielowych — na szczudłach. Pomysł, acz wygląda śmiesznie, okazał się w praktyce znakomitym i odtąd stosują go w wielu chmielnikach angielskich.

Pomnik śp. Andrzeja Potockiego. We Lwowie odbyło się posiedzenie ściślejszego komitetu budowy pomnika Andrzeja Potockiego. — Stwierdzono, że w kasie Banku krajowego złożono gotówką przeszło 60.000 koron; kwota subskrybowana przez urzędników namiestnictwa i krajowej rady szkolnej, wynosi także już przeszło 40.000 koron. Jest przeto wszelka nadzieja, że w niedługim czasie suma składek dojdzie do wysokości conajmniej 140.000 koron. Wobec tego uchwalono przystąpić do wykonania zamierzonego dzieła i w tym celu zwrócono się do szeregu artystów rzeźbiarzy, aby wzięli udział w konkursie i modele pomnika przedstawili komitetowi do kwietnia r. p. Członkowie komitetu, po dokładnem obejrzeniu miejsca, uchwalili, że pomnik ś. p. Andrzeja hr. Potockiego stanie na tak zw. Wałach Gubernatorskich, naprzeciwko wejścia do gmachu namiestnictwa.

Zjazd we wsi rodzinnej. Niezwykły zjazd odbył się tymi dniami w Borzęcinie, w pow. brzeskim, jednej z największych wsi w Galicyi, liczącej półszosta tysiąca mieszkańców. Lud tamtejszy garnie się z niezwykłym zapałem do oświaty. Są tam dwie szkoły: jedna dwuklasowa, druga czteroklasowa, obecnie zaś wzniesiono tam kosztem 100.000 koron piękny gmach szkolny. Dzieci zdolniejsze wysyłają rodzice do gimnazyum do Bochni, lub do Krakowa, a wielu z nich ukończyło uniwersytet i zajmuje dziś w społeczeństwie poważne stanowiska. Ci wszyscy z Borzęcina wyszli obywatele, roz-

Z uprawy chmielu.



Robotnicy na szczudłach. (Patrz: „Nasze ryciny“).

rzuceni na różnych stanowiskach po całym kraju, zjechali się tymi dniami, w liczbie 60 w swojej rodzinnej wiosce. Niektórzy, starsi, biorą już po raz drugi udział w takim zjeździe, gdyż pierwszy urządzony był tam przed laty dziesięciu. Uroczystość rozpoczęła się od nabożeństwa, na którem — rzec można — nie brakowało ani jednego mieszkańca Borzęcina. Nabożeństwo odprawił jeden z uczestników zjazdu ks. Jan Bach, katecheta gimnazyalny z Bochni, a kazanie wypowiedział ks. dr. J. Górka, profesor teologii w sem. bisk. w Tarnowie. Po nabożeństwie nastąpiło powitanie uczestników w budynku szkolnym przez prezesa zjazdu ks. dr. Górkę. Przemawiał w imieniu szkoły do zebranych obecny jej kierownik p. Franciszek Zbyszycki, w imieniu gminy wójt, w imieniu starszych uczestników p. Andrzej Klisiecki, profesor ze Złoczowa, a imieniem młodzieży p. Łukasz Staśko, słuchacz filozofii na uniwersytecie wiedeńskim. Po wspólnem śniadaniu odbyła się fotografia, następnie obiad przy dźwiękach muzyki z szeregiem udatnych toastów, które rozpoczął X. Ludwik Kozak, proboszcz miejscowy, pijąc na zdrowie swych parafian. Wieczorem przed kolacyą spalono sztuczne ognie. Na drugi dzień odprawił nabożeństwo X. Jan Solak, proboszcz z Baranowa, a pamięć zmarłych rodaków uczcił krótkiem a rzewnem przemówieniem z ambony X. Górka. Po śniadaniu odbyły się narady w szkole nad tem, w jaki sposób upamiętnić ten zjazd? Ponieważ w Borzęcinie są już dwie czytelnie, Kółko rolnicze i kasa Reifeisena, przeto uchwalono wybudować Dom ludowy i w tym celu subskrybowano kwotę 5550 K. Po kolacyi amatorzy miejscowi odegrali wesołą sztuczkę „Kominiarz i Młynarzówna".

Pożar na pół miliona. Z Sarzyny w łańcuckiem piszą: Wieś nasza położona w samym zakątku powiatu łańcuckiego, oddzielona Sanem od Królestwa, przez szereg lat wolną była od klęsk elementarnych. Ogień rzadkim tu był gościem; już lat 70 mija od czasu, kiedy większą część wsi doszczętnie zniszczył. Aż oto w tym miesiącu dnia 12, we czwartek popołudniu, straszne nieszczęście na mieszkańców tutejszej wsi sprowadził olbrzymi pożar.

Ogień powstał w środku wsi najgęściej zabudowanej. Dzieci żydowskie, rozniecając węgle w żelazku do prasowania, stały się powodem tej nędzy, w jaką setki rodzin popadły. Zaczęła się palić stajenka i dom żyda Lindenbauma. Dzień gorący, ludzie w polu przy pracy — w domu dzieci tylko nieletnie — więc nie miał kto stłumić ognia w zarodku. Sąsiednie strzechy stanęły wnet w płomieniach. Wiatr poniósł snopy iskier na wieś, i w przeciągu 2 godzin 116 domów mieszkalnych — a razem 350 zabudowań spłonęło jak jedna straszna pochodnia. A o ratunku mowy nie było. Mimo wysiłków straży ogniowych z okolicznych wsi i miasteczek, które z godną pochwały szybkością na miejscu pożaru stanęły i dzielnie pracowały — nie można było przerwać tego morza płomieni.

Szczęście całe, że uratowano kilka domów w sąsiedztwie kościoła, bo inaczej cała wieś padłaby ofiarą ognia. Ocalał kościół, plebania, poczta i szkoła. — W liczbie 116 ubezpieczonych było 42 na łączną kwotę 25.000 koron — podczas gdy szkoda wynosi około pół miliona koron. Stodół 38 doszczętnie spalonych, kilkanaście sztuk nierogacizny i bydła i ogromne zapasy drzewa, które ludzie przy domach nagromadzili.

„Skarby besarabskie". Wielu mieszkańców Petersburga otrzymało pocztą ze Lwowa listy, w których proponowano im wzbogacenie się kosztem kilku dziesiątków koron. Autor nazywał siebie „dezerterem, Stefanem Borysowem". Opowiadał, że przed 5 laty zbiegł z wojska rosyjskiego i uciekł do Galicyi, gdzie spotkał się z drugim takimże jak on dezerterem, niejakim Dymitrem. Dymitr chory był na suchoty i zmarł wkrótce po poznaniu się z nim, przed śmiercią jednak jeszcze powierzył Borysowowi tajemnicę zakopanego skarbu, wartości około 40 milionów rubli. Skarb ten zakopany jest w jednem z miasteczek besarabskich. Ponieważ koszta wydobycia skarbu wyniosą około 20.000 koron, proponuje Borysow, ażeby 1.000 osób z Rosyi dało mu po 20 kop., a on, odkopawszy skarb, podzieli się z niemi. Podobno wiele osób posłało mu pieniądze. Jeden z nagabywanych, otrzymawszy list, zwrócił się do znajomych we Lwowie z prośbą, ażeby Borysowa odszukali i dowiedzieli się, kto on zacz. Znajomi sprawdzili, że pod wskazanym adresem mieszkał we Lwowie istotnie emigrant rosyjski, Stefan Gawriłowicz Borysow. Dowiedziano się również, że codziennie otrzymywał pocztą ze stron Rosyi i Rumunii pakiety i pieniądze.

Niedźwiedzie w Tatrach. Z Witowa piszą: Wielki popłoch wywołało wśród górali tutejszych pojawienie się niedźwiedzi, które wśród bydła czynią spustoszenie. Przed tygodniem rozdarła niedźwiedzica jałówkę gospodarza z Chochołowa, w czwartek zaś znaleźli letnicy i górale ślady krwi na Magórze i w dolinie Chochołowskiej; w reszcie regli bytności ich nie zauważono. Sprzeczne są też wiadomości o ilości zwierza; juhasi mówią, że jest niedźwiedzica z młodemi, a inne wersye mówią o kilku niedźwiedziach. W tych dniach ma się odbyć obława, mająca na celu wytępienie szkodników; na razie gazdowie tutejsi ostrzegają bawiących tu gości, aby w wycieczkach omijali Magórę i późną nocą a zwłaszcza bez ognia do domu nie wracali.

Bojkot bydła pruskiego. Jak wiadomo, sprowadzano do Galicyi rozpłodowe bydło nizinne przeważnie z Niemiec, mianowicie tak zwane Oldenburgi; czyniono to ze względu na tańszy koszt transportu. Po uchwaleniu jednak przez sejm pruski ustawy o wywłaszczeniu Polaków, Towarzystwo gospodarskie we Lwowie uchwaliło, aby bydła nizinnego absolutnie nadal z Prus nie sprowadzano a nabywano go w Holandyi, to też już w roku zeszłym zakupiono bydło u Holenderczyków. Były tylko trudności z transportem, bo Prusacy, dowiedziawszy się o bojkocie, zamknęli granicę dla przewozu, spodziewając się, że tym środkiem zmuszą Galicyę do zakupna swego bydła. Pomylili się grubo, bo transportu dokonano przez Francyę, Szwajcaryę i Austryę — oczywiście z większym kosztem. Ta stanowczość ze strony polskiej odniosła skutek, bo kiedy Tow. rolnicze krakowskie, zakupiło również bydło nizinne w Holandyi, Prusacy pozwolili na przewóz przez Niemcy, wykalkulowawszy sobie, że lepiej zarobić przynajmniej na transporcie, niż nie uzyskać nic. W ten sposób już w roku zeszłym nie poszło z Galicyi do Prusaków około 150 tysięcy koron.

W tym roku taksamo postąpiło Towarzystwo gospodarskie, zakupując w Holandyi krów za przeszło 80 tysięcy koron. Prusacy starali się znowu przeszkodzić, zwlekając z odpowiedzią na podanie o zezwolenie na przewóz przez Niemcy. Poskutkowała i tym razem stanowczość, mianowicie zatelegrafowano do Berlina, że transport gotowy do odjazdu — iż jeśli pozwolenia nie uzyska, przewiezie bydło tą samą drogą, co zeszłego roku. Za kilka godzin pozwolenie nadeszło. Tow. rolnicze krakowskie zakupi również w tym roku znaczniejszą ilość bydła w Holandyi.

Na koniec słów kilka o jakości bydła holenderskiego. Nie są to tak zwane Fryzy (z prowincyi tegoż nazwiska), z wąską piersią, zapadające łatwo na gruźlicę — tylko bydło z południowych prowincyi Holandyi, silne, z szeroką piersią, mające te same cechy zewnętrzne, co Oldenburgi, t. j. silną budowę i barwę czarno-białą, lecz przewyższające znacznie Oldenburgi pod względem szlachetności i mleczności.

Zabił siebie i żonę.

Tragedya emigranta.

W Czarnej wsi pod Krakowem, zaszedł smutny wypadek. Sąsiedzi domu nowowybudowanego pod l. 18, obok kościoła, zostali przed kilku dniami zaalarmowani trzema wystrzałami, które sprowadziły na miejsce tłum ciekawych. Zaczęły krążyć wieści, przybierające w opowiadaniach niemal fantastyczne rozmiary. Mówiono, że wymordowaną została cała rodzina robotnicza, która poprzedniego dnia po południu, wracając do wsi rodzinnej z Ameryki, zatrzymała się na nocleg w Czarnej wsi. Około godz. 7 nad ranem dom był otoczony, zaglądano przez okna do izby, w której rozegrała się tragedya, której wątek przedstawia się jak następuje:

Około godz. 5-tej po południu dnia poprzedniego przybyli do właściciela domu pod l. 18, p. Lustgartena, emigranci, wracający z Ameryki: Jan Kowalik, robotnik, z żoną Maryą i trojgiem dzieci. Prosili o pozwolenie spędzenia nocy w budującym się jeszcze domu, oświadczając, że nazajutrz ruszą do Kryspinowa koło Liszek, do rodziców. Otrzymawszy pozwolenie, poszli do miasta, zakupili słomę na posłanie, a wróciwszy około 9-tej wieczorem, udali się na spoczynek. Rano padły w pokoju strzały, alarmujące sąsiadów. Tłum zgromadzony przed domem i tłoczący się do wnętrza, ujrzał w izbie dwa trupy. Bliżej okna leżał trup kobiety, z ustami ociekającemi krwią; strzał skierowany był w usta, kula przebiła podniebienie i utkwiła w mózgu. Opodal leżały zwłoki mężczyzny z przestrzeloną skronią. Grozę widoku potęgował płacz małego kilkutygodniowego dziecka i rozdzierający lament małej dziewczynki, skulonej w kącie.

Tragedyę wyjaśnia list, pozostawiony przez Kowalika. Była to tragedya małżeńska. Już podczas pobytu w Ameryce Kowalik zaczął żonę podejrzywać, że nie jest mu wierną. Podejrzenie to wzmogło się w nim, gdy na okręcie, którym wracał z żoną do Europy, znalazł się mężczyzna, ku któremu kierowały się podejrzenia. Kowalik twierdzi nawet w liście, podając świadka, iż żona umawiała się z owym mężczyzną o odebranie mężowi życia, aby połączyć się potem z tamtym. Przeświadczenie to nabrało w nieszczęśliwym takiej siły, że postanowił odebrać życie żonie i sobie.

Według przypuszczeń, wynikających ze śledztwa, Kowalik wykonał swój zamiar nad ranem, podczas gdy spała, strzelił jej w usta, śmierć nastąpiła w jednej chwili. Następnie strzelił do siebie, mierząc w głowę, lecz pierwszy strzał chybił. Wówczas, przyłożywszy rewolwer do skroni, zadał sobie ranę śmiertelną.

List adresowany był do ojca denata, Józefa Kowalika w Kryspinowie pod Liszkami i mieści prośbę, aby rodzice zajęli się trojgiem pozostałych dzieci. Na koszta wychowania przeznacza 3.100 kor., uskładanych w Ameryce i wszystkie rzeczy, które tam nabył, a które obecnie znajdują się w drodze do Europy. Z listu okazuje się, że Kowalik był z zawodu piekarzem i zamierzał za uskładane mozolnie pieniądze założyć w kraju piekarnię.

Smutny widok przedstawiały dzieci, pozostałe po ofiarach tej tragedyi małżeńskiej, aczkolwiek nie zdają sobie niemal sprawy z położenia. Ośmioletni chłopak, imieniem Ignaś, wydaje się słabo rozwiniętym na swój wiek, tak przynajmniej wynika z jego opowiadań. Mówi że zrana obudził go strzał; spojrzawszy na ojca, widział jak strzela do siebie z rewolweru. Gdy ojciec upadł, podszedł do zwłok, szukał zegarka, potem wydobywszy z kieszeni klucze, otworzył drzwi i błąkał się po podwórzu z pół godziny, nie mówiąc nikomu o zgonie rodziców. Opowiadać zaczął dopiero na zapytania zbiegających się ludzi.

Na miejsce podwójnej zbrodni przybyła miejscowa żandarmerya; z krakowskiej dyrekcyi policyi wydelegowano komisarza p. Krupińskiego i inspektora p. Karcza, którzy zestawili szczegóły smutnego wypadku. Dziećmi zajęli się tymczasem litościwi sąsiedzi.

6

BLIZNA.

(Ciąg dalszy).

— Niech mi pan przynajmniej nie odbiera reszty otuchy. Mam takie przeczucie, że nic mu złego się nie stało. Kochamy się tak bardzo, że zachodzi między nami jakiś tajemniczy, psychiczny związek. Gdyby mu się co złego przydarzyło, to zdaje mi się, że musiałabym to natychmiast przeczuć. Tego dnia, kiedy go widziałam po raz ostatni, będąc w sypialni, skaleczył się w palec. Byłam w jadalnym pokoju, a jednak pobiegłam zaraz na górę, wiedziona niezbitem przeczuciem, że coś mu się musiało stać złego. Niech mi pan wierzy, że skoro w takiej drobnostce mam zdolność przeczucia, to cóżby dopiero było w razie jego śmierci?

— Za wiele już rzeczy przeżyłem, aby nie dojść do przeświadczenia, że uczucie kobiety może mieć o wiele większą wartość, niżeli wnioski chłodnego rozumu. Ten list jest dla pani niezawodnie ważnym dowodem na to, co mówisz, ale gdyby mąż pani był przy życiu i mógł pisać listy, to dlaczegoż nie wrócił do domu?

— Tego już nie wiem. To dla mnie rzecz niepojęta.

— Czy nie wspominał nic, wychodząc z domu, że może nie wróci tak prędko?

— Nie.

— A pani zdziwiła się bardzo, widząc go tam na ulicy Swandam?

— Niesłychanie.

— Czy okno było otwarte?

— Tak jest.

— Więc mógł na panią zawołać.

— Tak jest.

— A jednak, ile wiem, wydał tylko nieartykułowany krzyk!

— Tak jest.

— Ten krzyk wzięła pani za wołanie ratunku?

— Tak jest. Mój mąż podniósł ręce do góry.

— Ale to mógł być także wykrzyk zdumienia. Być może iż ujrzawszy panią niespodziewanie, podniósł do góry ręce.

— Bardzo być może.

— Czy może się pani tylko zdawało, że ktoś go pociągnął w tył?

— Mój mąż zniknął nagle.

— Mógł także odskoczyć sam, z własnej woli. Czy nikogo więcej pani w domu uie widziała?

— Nie, nie widziałam. Ale ten kaleka przyznał przecież, że był tam, a Malajczyk stał na schodach.

— Bardzo słusznie. A mąż pani, o ile pani widziała, miał na sobie zwykłe swoje ubranie.

— Brakowało tylko kołnierza i krawata. Widziałam wyraźnie, że miał gołą szyję.

— Czy wspomniał kiedy o ulicy Swandam?

— Nie, nigdy.

— Czy nie zauważyła pani, aby używał opium?

— Nie.

— Dziękuję pani. Oto główne punkta, co do których chciałam mieć zupełną pewność. Teraz zjedzmy cośkolwiek, a potem pożegnamy panią, bo jutro będziemy mieli dzień pracowity.

Przgotowano już dla nas wielki, wygodny pokój i w parę chwil leżałem już w łóżku, po tej nocy, pełnej przygód. Holmes natomiast zdawało się, że nie potrzebował wypoczynku. Był to człowiek, który całe dni, ba tygodnie mógł pracować gorączkowo i bez wypoczynku, jeżeli go jaki problem bardzo interesował. Obracał go w głowie, oświetlał z tej i z tej strony, pracował niestrudzenie nad uporządkowaniem materyału dowodowego. Ustawał dopiero, znalazłszy rozwiązanie, albo przekonawszy się, że dowody są niewystarczające.

Wkrótce przekonałem się, że i dzisiaj przygotowywał się do posiedzenia nocnego. Zdjąwszy surdut i kamizelkę, otulił się w niebieski szlafrok, i zaczął, chodząc po pokoju, polować na poduszki, które pozbierał z łóżka, foteli i sofy. Z tego materyału zbudował sobie rodzaj otomany i usiadł na niej z podwiniętymi nogami, mając przed sobą paczkę tytoniu i zapałki. Przy bladem świetle niewielkiej lampy widziałem go siedzącego w ten sposób, z oczyma napozór błędnie wlepionemi w sufit, ze starą fajką glinianą w ustach, otoczonego błękitnemi chmurami dymu. Milczał, nie poruszał się prawie zupełnie. Tak siedział dalej, gdy mnie już oczy się kleiły i w tej samej pozycyi ujrzałem go, gdy zbudziło mnie słońce, zaglądające do pokoju. Fajkę miał dalej w ustach i dym z niej wił się dalej w powietrzu. Tylko z paczki tytoniu nie pozostało ani okruszyny.

— Wytrzeźwiłeś się? — spytał.

— Jak widzisz. — Odparłem na wpół senny.

— Możesz ze mną pojechać?

— Naturalnie. — W jednej chwili otrzeźwiłem się zupełnie.

— W takim razie ubieraj się. Wszyscy śpią, lecz wiem, gdzie śpi parobek, chłopak stajenny, a mały wózek to wydostaniemy już sobie sami.

Mówiąc to, śmiał się po cichu, a oczy mu błyszczały. Zdawało się, że to inny człowiek. Ponura, zamyślona postać z ubiegłej nocy znikła gdzieś bezpowrotnie.

Ubierając się, spojrzałem na zegarek. Nic dziwnego, — pomyślałem — że wszyscy śpią. Toć to dwadzieścia pięć minut na piątą!

Zaledwie skończyłem się ubierać, gdy Holmes przyszedł powiedzieć, że już zaprzągają.

— Muszę wypróbować jedną z mych teoryi — rzekł do mnie. — Mojem zdaniem, widzisz teraz przed sobą jednego z największych osłów w całej Europie. Warto mnie tak kopnąć, abym poleciał stąd do Charing Cross! Ale teraz, jak mi się zdaje, znalazłem już kluczyk do tej tajemniczej szkatułki.

— A gdzież był ten kluczyk?

— W łazience — odparł. — Tak jest, nie żartuję — dodał widząc, że się uśmiecham z niedowierzaniem. — Właśnie tam byłem i zabrałem go do torby. Dalej mój chłopcze, zobaczymy, czy nie nadaje się do zamku.

Po cichu wymknęliśmy się po schodach i wkrótce oblało nas jasne słońce poranne. Na drodze stał już nasz wehikuł, a na wpół odziany chłopak, trzymał konia za lejce. Szybko wsiedliśmy i pojechali londyńską szosą. Wprawdzie wozy chłopskie wiozące jarzyny do miasta, hałasowały nieco, lecz wille po obu stronach drogi były ciche i bez życia, jak jakie zaczarowane miasto.

— To ciekawa historya, z wielu względów ciekawa — zaczął Holmes, — popędzając konia, aby szedł galopem. — Byłem ślepy jak kret, to muszę przyznać. Zawsze jednak lepiej, że człowiek przejrzy późno, jak nigdy.

W mieście otwierały się z rzadka okna i ranne „ptaszki“ wyglądały na świat zaspanemi oczyma, gdyśmy jechali przez ulicę Waterloo, a potem za rzeką, przez ulicę Bow. Holmesa znano na policyi doskonale, więc obaj policyanci, stojący przed drzwiami złożyli mu uprzejmy ukłon. Jeden z nich potrzymał konia, drugi wprowadził nas do środka.

— Kto ma służbę? — zapytał Holmes.

— Inspektor Bradstreet.

— Aha. Dzień dobry panie Bradstreet, dzień dobry panu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W sprawie szkoły realnej w Tarnobrzegu. Niniejszem zawiadamiam, że na mocy sankcyi cesarskiej otworzona została w Tarnobrzegu państwowa szkoła realna. Z dniem 1-go września b. r. otwarta zostaje pierwsza klasa tej szkoły — a następnie rokrocznie powstawać będą dalsze klasy. Będzie to siedmioklasowa szkoła realna t. zw. starego typu, która jednak według przyrzeczenia odnośnych władz po dwóch latach przekształcona zostanie na ośmioklasowe reformowane gimnazyum realne. Jak wiadomo, dwie pierwsze klasy w obu typach niczem się nie różnią, jest więc nadzieja, że wobec bardzo małej ilości tego rodzaju nowych zakładów w całej Austryi, szkoła tarnobrzeska już od samego początku cieszyć się będzie mocną frekwencyą.

Kącik humorystyczny.

Stary kawaler zamożny oddalił gospodynię domu, a na jej miejsce przyjął dwóch lokajów, których nazywał: „moi ludzie“.

Razu jednego między panem, a ludźmi jego wynikła następująca rozmowa przezedrzwi:

— Piotrze, czy jesteś!
— Jestem, panie!
— A co robisz?
— Nic, panie!
— A ty, Janie, czy jesteś?
— Jestem panie!
— A ty co robisz?
— Pomagam Piotrowi!
— No to dobrze, jak skończycie, podacie mi buty.

CENY ZBOŻA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 24 sierpnia (wtorek) 1909).

Pomimo dość silnego zaofiarowania na targu dzisiejszym był brak zainteresowania ze strony konsumentów, pod wpływem słabej tendencyi giełdy wiedeńskiej, na której notowania spadły o 10 hal. — Cena pszenicy, pomimo dużego importu pszenicy rosyjskiej utrzymuje się na jednej wysokości — toż samo dotyczy też i żyta. Owies węgierski notuje nieco niżej skutkiem dużego dowozu, na jęczmień brak zupełnie kupców, którzy wobec dobrego urodzaju chcą odczekać zniżkę ceny.

Sprzedawano: pszenicę białą od 00·00—00·00 kor., czerwoną od 13·40—13·70 kor., żyto 10·00—10·50 kor., żyto targowe od 8·80—9·30 koron, jęczmień 0·00 do 0·00, owies na paszę 00·00 do 00·00 kor., nowy węgierski 8·60 do 8·80 kor., kukurudzę starą 00·00 do 00·00 koron, nową 9·20—9·30 koron, kukurudzę Cinquantino 10·30—10·60 kor., groch zwyczajny 12·00 do 13·00 kor., groch Victoria 14·00—16·00, (do siewu) na paszę 00·00—00·00 kor., wykę nową 00·00—00·00 kor., bobik 0·00—00·00 kor., rzepak 13·80—14·30 kor., otręby pszenne 6·50—6·70, otręby żytnie 6·50—6·60, koniczyna nasienna czerwona 00·00—00·00 kor., biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00 kor. Wszystko za 50 klgr.

Komunikat Biura handlow.

dla eksportu bydła

c. k. Tow. Rolniczego w Krakowie, ul. św. Jana 2.

Ceny w koronach za 100 kg żywej wagi.

Wiedeń, dnia 23 sierpnia 1909 targ na bydło; 24 „ „ „ „ świnie

Rodzaj	Ilość	SORTA I.	SORTA II.	SORTA III.
Woły	3511	84—90	80 -83	—
Buhaje	754	75—80	64—73	—
Krowy	838	72—80	56—70	—
Bydło z paszy	1104	46—78	—	—
Bydło ost. sorty	1244	32 - 50	—	—
Jałownik	—	—	—	—
Cielęta bite	2128	116—148	—	80—114
Świnie węgier.	15343	124—127	116—120	100—114
„ **galic. I.**		120—124	—	—
„ **galic. II.**		—	92—116	—
Knury czyszczone i maciory tuczne			—	98—108

Uwagi: Spęd bydła o 750 sztuk większy. — Ceny krów i bydła ostatniej sorty zeszłotygodniowe, buhai zaś od 1—3 kor. wyższe, wołów o 1 kor. wyższe. Ceny cieląt od 1—4 kor. wyższe. — Świń o 505 sztuk więcej, — ceny węgierskich od 1—2 kor. niższe — ceny młodych od 2—4 kor. niższe.

Ceny w koronach za 100 kg. żywej wagi.

Kraków, dnia 20 sierpnia 1909 targ duży; 24 „ „ „ mały

Rodzaj	Data	Ilość	SORTA I.	SORTA II.	SORTA III.
Woły	20/8	303	52—70	52—70	—
	24/8	105	140—275	140—375	za sztukę
Buhaje	20/8	111	54—68	54—68	—
	24/8	13	60—210	60—210	za sztukę
Krowy	20/8	126	80—262	80—262	—
	24/8	8	100—150	100—150	za sztukę
Jałownik	20/8	101	42	42	—
	24/8	13	50—130	50—130	za sztukę
Cielęta	20/8	350	96—100	96—100	—
	24/8	193	27—66	27—66	za sztukę
Owce	20/8	10	17—20	17—20	—
	24/8	6	16—24	16—24	za sztukę
Świnie żywe	20/8	252	112—124	112—124	—
	24/8	337	120	120	—
„ bite	20/8	—	156—172	156—172	—
	24/8	—	164—176	164—176	—

Uwagi do targu z d. 20 sierpnia 1909 r.: Spęd bydła znacznie większy niż w poprzednim tygodniu, za woły i buhaje płacono jak w poprzednim tygodniu — krowy i jałówki na sztuki, świń zeszłotygodniowe.

Uwagi do targu z d. 24 sierpnia 1909: Spęd znacznie liczniejszy niż zwykle — sprzedaż bydła na sztuki, świń na bitą wagę — ceny zezżłotygodniowe.

Jednajcie nowych czytelników,
By rosła siła wśród rolników!

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.